Uroda Życia
01.02.16 nr: 2 str. 46 nakład: 175000 egz.

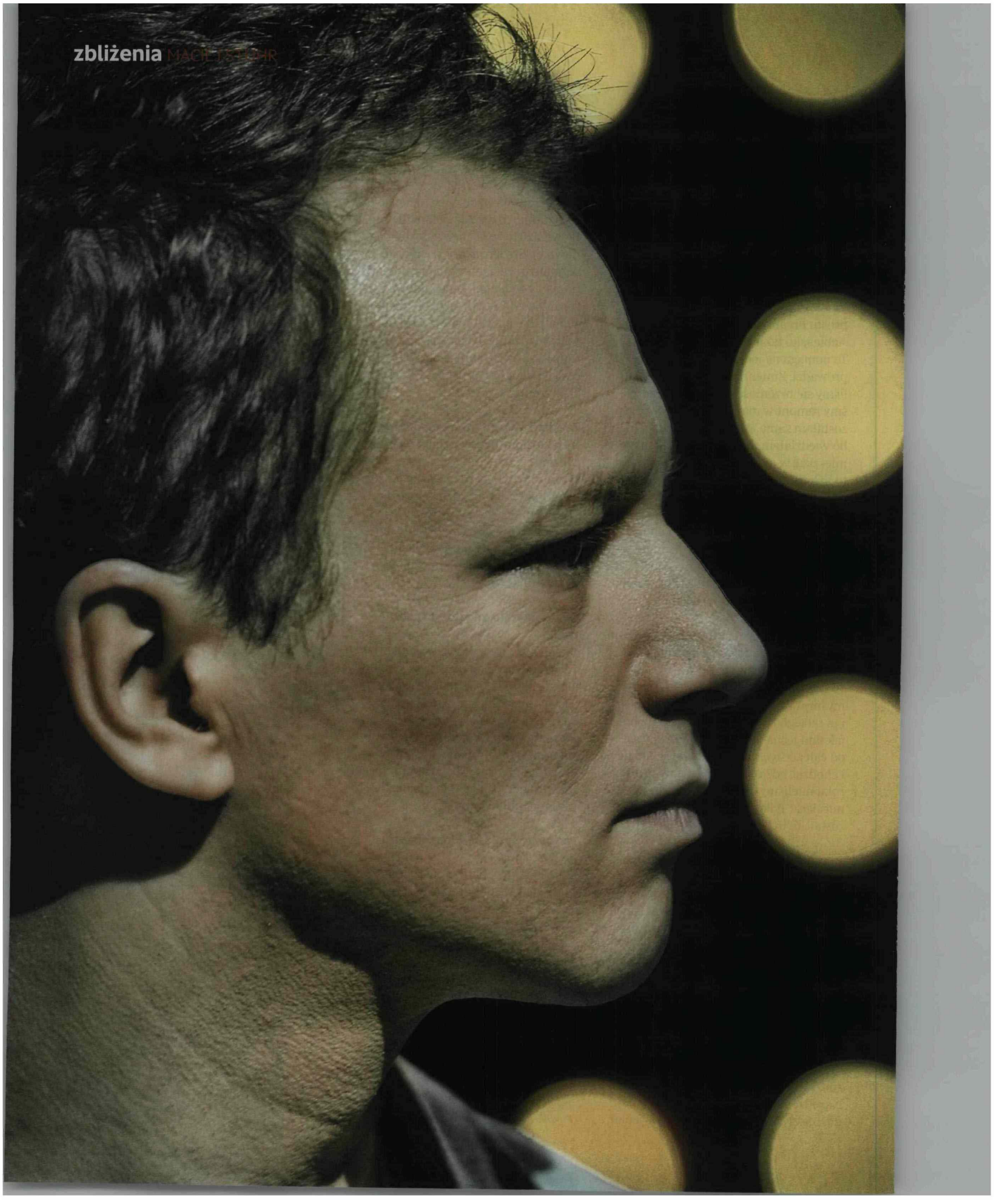

Uroda Życia
01.02.16 nr: 2 str. 46 nakład: 175000 egz.

Moja szkoła przetrwania

ROZMAWIA *Magdalena Żakowska*

„Przestałem być chłopcem, który stara się wszystkim przypodobać. A nawet zacząłem się uśmiechać do myśli, że... nie chcę się podobać nikomu" – mówi **Maciej Stuhr.**

Oglądając film „Ekscentrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy" Janusza Majewskiego, myślałam sobie: Stuhr senior będzie z juniora zadowolony.

Też tak myślę. Chociaż najbardziej zadowolony byłby nieżyjący już dziadek Tadeusz, ojciec taty.

Ten, który nie lubił wyjeżdżać z Krakowa, był strasznie uparty, a krew miał pierwszy raz pobieraną po osiemdziesiątce?

Ten właśnie. Akcja „Ekscentryków..." rozgrywa się pod koniec lat 50. – to był jego czas. Miał wtedy tyle lat, co ja teraz. Dużo o nim myślałem, pracując nad tym filmem. Takie spodnie z kantem, które tam mam, mój dziadek nosił do końca życia. Kiedy rozmawialiśmy z Januszem Majewskim o mojej roli, zapytał, czy wiem, co w tamtych czasach znaczyło, że ktoś był chętny. Nie wiedziałem. To był ktoś, kto lubił zabłysnąć, kogo było za dużo, kto chciał za dobrze, potrafił być nachalny, nietaktowny, nadgorliwy. I zakładał, że wszędzie go chcą. „Nasz bohater nie może być chętny" – powiedział mi wtedy Majewski i to też było bardzo à propos dziadka. On był dokładnie na drugim biegunie słowa chętny. Zamknięty w sobie, skierowany do wewnątrz. Nigdy w życiu nie był za granicą, ale potrafiłby narysować plan niejednego europejskiego miasta, bo znał je z literatury. Cały jego świat był w środku. Janusz Majewski jest zresztą podobny...

Ty też. Twoja siostra Marianna mówi w „Stuhrmówce", że „Maciek jest niezwykle zamknięty w sobie. Wielu ludziom wydaje się, że go zna, a nie ma nic bardziej mylnego".

Mam problemy z komunikacją, to pewne. Nauczyłem się jej – trochę z grzeczności, trochę z konieczności i z racji mojego zawodu, ale ile w tym ▶

jest z prawdziwego mnie? Pewnie niespecjalnie dużo. Moi bliscy śmieją się, że jak tylko wejdę do domu, to dopada mnie stan nazywany w psychologii afazją, czyli całkowita utrata mowy.

Twoja mama zrobiła kiedyś nawet taki eksperyment: przestała odzywać się do ciebie pierwsza, żeby przekonać się, czy masz w ogóle potrzebę rozmowy. Poddała się po dwóch tygodniach ciszy.
Pochodzę z domu, w którym od pokoleń ceni się intelektualny rozbiór rzeczywistości, ale już w młodości zrodził się we mnie mechanizm obronny, który podpowiadał mi, że to może zabić coś cennego w człowieku, co się wymyka liczbom i logice. Uważałem i nadal uważam, że słowa są ważnym, ale nie najważniejszym sposobem komunikowania się ludzi. Są użyteczne, ale mam wrażenie, że je przeceniamy. Jeśli dobrze pamiętam, z komunikatu, który wysyła człowiek, słowom wierzy się tylko w siedmiu procentach. Mogę teraz na przykład powiedzieć „kocham cię", ale przecież w to nie uwierzysz. Bo oboje znamy kontekst sytuacji, bo mówię to tak, a nie inaczej. Poza tym słowa nas często ograniczają. Najpiękniejsze rzeczy między ludźmi zdarzają się na poziomie, który w ogóle trudno nazwać. A wracając do mojej mamy: wiedziała, że moje milczenie nie jest wymierzone przeciwko niej.
W domu po prostu mogłem być sobą.

O ile „Ekscentrycy..." Majewskiego to film, który się Stuhrowi seniorowi na pewno spodoba, o tyle „Planeta singli", komedia romantyczna, w której grasz uroczego, lecz wyrachowanego drania, już chyba mniej.
Dlatego że to komedia romantyczna?

Dlatego że niepoważne kino. W książce opowiadasz m.in. o tym, jak ojciec napisał list do Olafa Lubaszenki po jego filmie „Poranek kojota", gdzie zagrałeś jedną z głównych ról, że osobiście dopilnuje, abyś już nigdy więcej u niego nie zagrał!
To prawda. Ojciec nie był fanem moich pierwszych filmowych ról. Ale „Planeta singli" to zupełnie inne kino. Fakt, że w środowisku filmowym głupio się przyznać, że przyjęło się rolę w komedii romantycznej... Ale tym razem scenariusz wydawał mi się wyjątkowy na tle tego, co było.

Startowałeś w filmie w latach 90. To trudny okres w historii polskiego kina. Chyba nie było drugiego tak beznadziejnego dziesięciolecia...
Nic gorszego w polskim kinie niż lata 90. chyba rzeczywiście się nie przydarzyło. Chociaż mam poczucie, że i tak trafiłem na szczęśliwe produkcje.

Ojciec jest twoim najostrzejszym krytykiem?
Był. Ojciec wiedział, co na mnie czyha, kiedy zaczynałem w tym zawodzie. Wiedział, że musi być w ocenach surowszy od najsurowszych krytyków, żeby uchronić mnie przed rozczarowaniem. I przed brnięciem w kino, z którego nie będę już mógł się później wycofać. A pokusa była, bo zagrałem kilka dużych ról.

Kiedy zdawałeś do szkoły teatralnej, cały Kraków obklejony był plakatami z tobą w tytułowej roli w „Fuksie" Macieja Dutkiewicza.
Byłem dość popularny, dostawałem wiele propozycji. I to chyba największa zasługa ojca w moim zawodowym życiu, że przypominał mi, żeby trzymać się wytyczonej wcześniej drogi, nie zbaczać w prowadzenie teleturniejów. Nauczył mnie odporności na to, co nazywamy sukcesem.

Nie było ci przykro, kiedy krytykował twoje role w „Chłopaki nie płaczą" czy właśnie w „Poranku kojota"?
Było. To było psychologicznie trudne dla syna, który chciał ojcu czymś zaimponować. Musiało minąć wiele lat i wiele ról, żebym zobaczył w jego oczach uznanie. Ale i tak największe było wtedy, kiedy zostałem dawcą szpiku kostnego. Wtedy widziałem, że mu naprawdę zaimponowałem.

A pierwsza taka rola?
To nastąpiło dopiero w momencie mojego spotkania z Warlikowskim.

Nie sądziłam, że na Jerzym Stuhrze wrażenie robi tego rodzaju teatr.
To prawda, że ojciec wywodzi się z zupełnie innej szkoły, nie wyobrażam go sobie na naszej scenie. Ale to nie jest człowiek zamknięty na inny teatr. Docenia to, co robi Warlikowski. To, co razem robimy. Docenia nasz teatr jako zespół, bo przecież sam wywodzi się z takiego

Dwa razy ludzie mówili mi, że jestem odważny. Jak oddałem szpik i drugi raz, kiedy wziąłem udział w dyskusji po „Pokłosiu"

silnego, zżytego zespołu Starego Teatru. Podobnie jak ja, nie miał wątpliwości, że wchodząc do zespołu Warlikowskiego, podjąłem słuszną decyzję.

A ty? Nie miałeś wątpliwości?
To był taki moment, w odróżnieniu od lat 90. w polskim kinie, kiedy nowy teatr, na przykład właśnie teatr Grzegorza Jarzyny czy Krzyśka Warlikowskiego, był miejscem najciekawszych aktorskich przygód. W tym czasie filmowcy zazdrościli ludziom teatru przeżyć, spotkań, spektakli, kontaktu z publicznością.
A przede wszystkim stworzenia wspólnego, nowego języka. Ja też byłem widzem Teatru Rozmaitości. Fascynował mnie ten nowy teatr. Kiedy Jacek Poniedziałek wysłał mi SMS z propozycją roli w „Aniołach w Ameryce", poczułem się jak piłkarz, który dostał powołanie do reprezentacji.

Maja Ostaszewska opowiadała, że byłeś podczas prób do „Aniołów..." strasznie spięty, że jeszcze na trzeciej próbie generalnej grałeś ubrany...

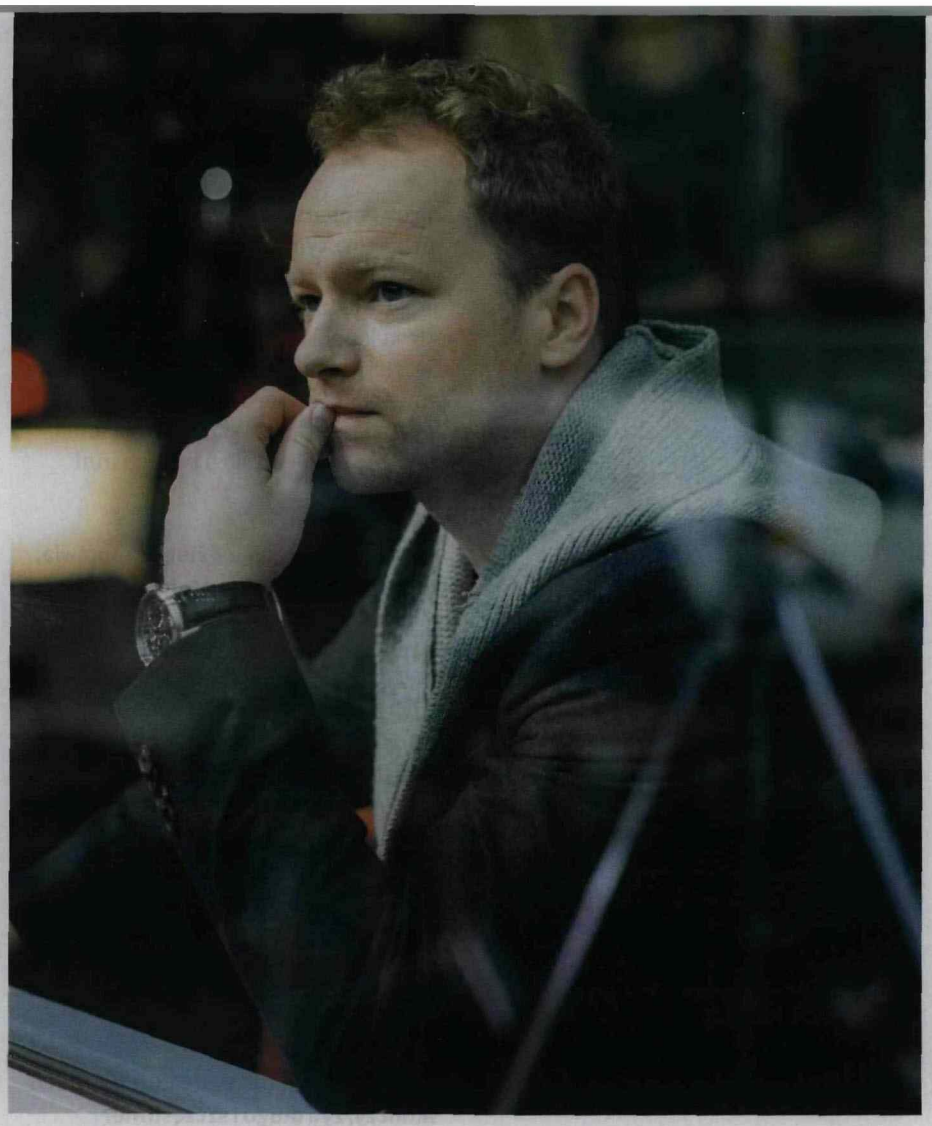

To prawda. Cholernie byłem spięty perspektywą rozebrania się.

Da się przyzwyczaić do biegania nago po scenie?
Da się. Najgorsza była ta pierwsza próba bez majtek. Pamiętam ją do dziś. Osób było przy tym niewiele – siedem, może osiem – ale czułem się, jakby patrzył na mnie tłum. Aktor musi nauczyć się odłączać wstyd. Tym bardziej że nie tylko na poziomie ciała, nagości, ale też emocji odkrywamy na scenie to, co normalnie zakryte. Mam to już dawno za sobą. Chcę jednak wyraźnie powiedzieć, że kwestia nagości w naszym teatrze, to więcej głupawych komentarzy na mieście niż rzeczywistości. Zwłaszcza ostatnie spektakle są kompletnie i skrupulatnie poubierane.

Czy moment twojego przejścia do Nowego Teatru Warlikowskiego to także moment, w którym wybiłeś się na zawodową niepodległość. Znalazłeś swoją drogę?
Z jednej strony znalazłem coś, co można było jakoś porównać do tego, w czym się wychowałem, co obserwowałem w dzieciństwie, czyli teatr jako wspólnotę, zespół.
A z drugiej strony teatr Warlikowskiego jest kompletnie inny, nie da się go porównać z niczym, co było. Tak, postrzegałem to jako szansę na pójście swoją drogą.

Granie z ojcem w jednym filmie to dobry pomysł? Macie takich już kilka...
Nie wiem, czy dobry. Filmy, które zrobiłem z tatą, stanowią dla mnie zupełnie inną kategorię – dziwnego pomieszania spraw prywatnych z zawodowymi. Mimo że staram się zawsze podchodzić do tych ról megaprofesjonalnie, to uważam, że nie za bardzo wypada mi się nimi chwalić. Być może nadal boję się posądzenia o nepotyzm?

Nadal?
Miałem to całe lata. Właściwie od szkoły podstawowej. Jeszcze w głębokim PRL-u tata przywiózł nam z Włoch banany, mama dawała mi je do szkoły na drugie śniadanie, a ja, żeby nie wywyższać się tymi bananami przed kolegami, jadłem je w krzakach pod szkołą. Bardzo dbałem o to, żeby nikt mi niczego nie zazdrościł, żeby nikt nie mógł mi zarzucić, że coś ojcu zawdzięczam.

Spodziewałeś się, że „Pokłosie" obudzi w Polsce od lat skrywane demony?
Trochę tak. Ale nie spodziewałem się, że stanę się w tej sytuacji frontmanem.

Zdziwiło cię, że Władysław Pasikowski zostawił cię na polu walki samego?
Znam Władka na tyle, że wiedziałem, że chociaż nakręcił jeden z najbardziej kontrowersyjnych filmów po 1989 roku, to nie będzie się z tego powodu tłumaczył.

Ty też się nie tłumaczyłeś. Ale stanąłeś na wysokości zadania. Wziąłeś na klatę ciężar tej dyskusji.
Dwa razy w życiu ludzie mówili mi, że jestem odważny. Pierwszy raz, jak oddałem szpik, a drugi, jak wziąłem udział w dyskusji po „Pokłosiu". Ani w pierwszym, ani drugim wypadku nie miałem poczucia, że robię coś wyjątkowego czy wymagającego odwagi.
Jestem facetem, którego się wynajmuje, żeby przekonująco wyglądał w filmie, niezależnie od tego, czy weźmie do ręki puzon [„Ekscentrycy..."], pacynkę [„Planeta singli"] czy siekierę [„Pokłosie"]. A potem, podczas promocji filmu, ma za zadanie o swojej roli opowiedzieć. Chociaż faktem jest, że nie każda rola kończy się udziałem w programie Moniki Olejnik...

...ani pogromem Maćka Stuhra. Zderzyłeś się po tej roli z falą hejtu. Chyba pierwszy raz na taką skalę.
Trudny moment, bo w tym samym czasie znalazłem się na życiowym zakręcie. Rozwiodłem się. Działałem chyba w stanie amoku i szedłem jak taran. Na wszystkie te negatywne reakcje miałem już wtedy mocno wyczesane. Parę osób starało się mnie w internecie dojechać, i nadal zresztą próbuje, ale też spotkało mnie w związku z tym filmem wiele dobrego. Wiele gestów wsparcia, wiele ciepłych słów, których bardzo wtedy zresztą potrzebowałem.

Od tego momentu stałeś się medialnym autorytetem. Jeśli dziennikarz ma ▶

Uroda Życia
01.02.16 nr: 2 str. 46 nakład: 175000 egz.

zadzwonić do jakiegoś aktora po komentarz do bieżących wydarzeń politycznych, to ma dość krótką listę – Agnieszka Holland, Marek Kondrat. Teraz dołączyłeś ty.
I przeważnie nie czuję się uprawniony do komentowania tych spraw.

Ale każdy twój komentarz bije w internecie rekordy kliknięć. Masz dar pointowania rzeczywistości.
Wyniosłem to chyba z kabaretu, który przecież zajmuje się komentarzem do tego, co się dzieje, także w sferze politycznej. Może dlatego ludziom wydaje się, że mam coś do powiedzenia. Owszem, emocjonuję się tym, co się w Polsce dzieje, ale nie czuję się powołany do roli trybuna. Tym bardziej że stałem się komentatorem od wszystkiego. Niedawno zadzwonił do mnie dziennikarz z jakiejś lokalnej gazety z prośbą o komentarz w sprawie narodzin słonia w zoo...

Masz poczucie, że dzięki wojnie o „Pokłosie" zmężniałeś?
Przestałem być chłopcem. Chłopcem, który stara się wszystkim przypodobać. A nawet zacząłem się uśmiechać do myśli, że... nie chcę się nikomu podobać. Że nie muszę mieć 40-milionowej widowni w tym kraju.

W opiniach rodziny, przyjaciół, bliskich zebranych na twój temat w książce, ciągle przewija się: dobrze wychowany, ułożony, grzeczny, dżentelmen, czarujący, odpowiedzialny...
Strasznie mnie to drażni. Zwłaszcza że to nie jest do końca prawda.

Ufff... Bo dla faceta to trochę jak gwóźdź do trumny!
Czasami mam ochotę pokazać, że jest inaczej.

Kilka miesięcy po „Pokłosiu" starłeś się z brukowcami, które pisały o twoim rozwodzie. Wtedy pokazałeś, że taki miękki nie jesteś.
Zrobiłem coś, czego żaden dbający o swój PR uczestnik show-biznesu raczej by nie zrobił. Wytoczyłem 21 procesów sądowych przeciwko wszystkim największym wydawcom w tym kraju. Udzieliłem wywiadu w „Newsweeku", w którym wprost powiedziałem, żeby się brukowce ode mnie „od...rniczyły". Moja agentka wymyśliła wtedy, że powinienem się

Dopiero ta sytuacja, która spotkała mnie w trakcie rozwodu, ta walka o prawo do prywatności sprawiła, że zmężniałem

spotkać z jakimś specjalistą od PR-u, który doradzi mi, co można, a czego lepiej nie robić w mediach. Miał słuszne uwagi, ale wiedziałem, że w życie mogę wprowadzić najwyżej połowę z nich. Bo inaczej przestałbym być sobą, a stał kimś, kto dobrze wypada w rankingach popularności.
Mam wrażenie, że dopiero ta sytuacja, która spotkała mnie w trakcie rozwodu i po nim, ta walka o prawo do prywatności i codzienne mierzenie się z publikacjami w brukowcach sprawiła, że zmężniałem. To była szkoła przetrwania.

Jacek Poniedziałek powiedział, że w porównaniu z tym, co cię spotkało w mediach w trakcie rozwodu, hejt po „Pokłosiu" był niewinnym klapsem.
Ale ja jednak łączę te dwie sprawy. Myślę, że jedna napędziła drugą. Ośmieliła mnie i dała odporność. Przestałem się martwić tym, czy wszyscy mnie lubią. W ogóle mniej myślę o tym, co inni o mnie myślą.

Kilka dni temu wziąłeś ślub. Co sprawia, że mężczyzna po rozwodzie nadal wierzy w instytucję małżeństwa?
Strasznie bym chciał wierzyć, że z wiekiem człowiek mądrzeje, a nie odwrotnie. Jak już facet przestanie być chłopcem, a stara się być mężczyzną, i jak dostanie od życia trochę po dupie, to rosną szanse na to, że będzie do życia podchodził uważniej i z większą odpowiedzialnością. Mówiąc krótko: szanse na sukces rosną. Tak widzę siebie. Zarówno jako artysta, jak i mężczyzna jestem dziś w zupełnie innym miejscu niż te kilkanaście lat temu, kiedy brałem ślub po raz pierwszy.

Tym razem się uda? Wszystko się dobrze skończy, żyli długo i szczęśliwie?
Głęboko wierzę, że tak. Paradoksalnie mam teraz do małżeństwa jako instytucji dużo więcej szacunku niż kiedyś.

„Zaczął się wiek męski. Coraz mniej czasu na rzeczy pozbawione sensu" – piszesz w książce. Co to znaczy?
Chciałbym na przykład trochę mniej pracować.

I zostać po raz drugi ojcem?
Chodzą mi czasem także takie myśli po głowie. Nie wiem, czy już nie jestem za stary, ale chyba nie, chyba to jeden z ostatnich dobrych momentów. I mam wspaniałą córkę, z którą chciałbym spędzać więcej czasu. Muszę sporo nadrobić, tym bardziej, że ma 15 lat, jest już nastolatką i za chwilę będzie za późno. Właśnie weszła w tak zwany trudny wiek.

Jesteś świetnym ojcem – tak mówią.
Uwielbiam dzieci. Gdyby w tej knajpie kręciła się jakaś mama z pięciolatkiem, to pewne jest, że już byśmy się tu bawili. Z pięciolatkiem, nie z mamą, oczywiście...

ROZMAWIAŁA *Magdalena Żakowska*

FOT. EAST NEWS, AREK MARKOWICZ/PAP (2)